

Van Gogh – symbol nowoczesności. Rozmowa z bp. Michałem Janochą

Nie chciał być postrzegany jako wielki reformator malarstwa, awangardzista, który sprzeciwia się i buntuje. Pozostał przez całe swoje życie na marginesie wielkiego świata. Późniejsze spektakularne odkrycie, które zaczęło się od kolekcjonowania jego dzieł po jego śmierci, między innymi przez jego szwagierkę, sprawiło, że gwiazda van Gogha zaczęła coraz mocniej świecić na firmamencie, by około lat pięćdziesiątych XX wieku, osiągnąć apogeum. Chociaż, kto wie? Być może apogeum jest ciągle przed nami. Van Gogh stał się symbolem nowoczesności – mówi bp Michał Janocha w rozmowie dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Vincent van Gogh. Barwy metafizyki”.

Mikołaj Rajkowski: Nie da się dziś uciec przed van Goghiem – reprodukcje jego dzieł są wszędzie, na kubkach, torbach i wszelkich możliwych gadżetach. Czy taki jest koniec recepcji tej sztuki – od początkowego odrzucenia, przez późniejszy kult, zostaje jej status ornamentu, mniej lub bardziej gustownego dodatku do codzienności?

Bp prof. Michał Janocha: O ile historie artystów za życia nierozpoznanych, niedocenionych i odkrytych po śmierci nie są czymś wyjątkowym – wspomnijmy chociażby naszego Norwida – o tyle w przypadku van Gogha ta pośmiertna kariera jest rzeczywiście czymś niezwykłym. Objęła zarówno wyżyny krytyki artystycznej, jak i popkulturę. Myślę, że przyczyna w dużej mierze tkwiła w samym van Goghu. W przeciwieństwie do wielu swoich kolegów po piędzlu nie chciał być kimś znanym, nie szukał sławy, nie

sprzedawał swoich obrazów, a nawet ich nie wystawiał. Nie chciał być postrzegany jako wielki reformator malarstwa, awangardzista, który sprzeciwił się i buntuje. Pozostał przez całe swoje życie na marginesie wielkiego świata. Późniejsze spektakularne odkrycie, które zaczęło się od kolekcjonowania jego dzieł po jego śmierci, między innymi przez jego szwagierkę, sprawiło, że gwiazda van Gogha zaczęła coraz mocniej świecić na firmamencie, by około lat pięćdziesiątych XX wieku, osiągnąć apogeum. Chociaż, kto wie? Być może apogeum jest ciągle przed nami. Van Gogh stał się symbolem nowoczesności.

Dlaczego?

Vincent van Gogh postrzegał sztukę jako powołanie, które jest organicznie związane z jego życiem, tak jakby pędzel był przedłużeniem jego mózgu, układu nerwowego, palców. To jest malarstwo, które jest najgłębiej egzystencjalne. I to jest coś, co niesłychanie porusza, ponieważ trudno mówić o przypadku takiego utożsamienia siebie i swojego losu ze sztuką przed van Goghem. Z tym łączy się jego niesłychana emocjonalność. Van Gogh może być bliski nowoczesnemu człowiekowi w poczuciu tragicznej samotności, życia w świecie, który go nie rozumie. Człowiek współczesny nosi w sobie samotność, ale i tęsknotę za prawdą. Van Gogh przeżywał i wyrażał właśnie takie stany ducha.

Użył ksiądz biskup słowa „powołanie”, jak sądzę, nieprzypadkowo. Sztuka nie była jednak pierwszym powołaniem, które odczuł w swoim życiu van Gogh.

W młodości chciał poświęcić swoje życie ewangelizacji. Wyrósł w pobożnym i dość rygorystycznym środowisku protestanckim, jego ojciec był pastorem. Tę misję ewangelizacyjną i społeczną próbował realizować już w młodości, skończył szkołę teologiczną, a potem mieszkał wśród najuboższej ludności górników na terenie Belgii. Wszedł w to całym sobą, bez reszty. To doprowadziło go do wyczerpania, a jednocześnie do konfliktu z grupą pastorów, nastawioną wobec życia bardzo kompromisowo. Wydaje się, że to niezrealizowane powołanie pastora, które przypłacił zdrowiem poprzez swój radykalizm, przemieniło się w powołanie artysty – z tą samą pasją, z tą samą siłą i bezkompromisowością. W przypadku van Gogha mamy pewien wgląd w jego życie psychiczne, a nawet duchowe, dzięki zachowanej korespondencji, przede wszystkim listom do brata. Pozwalają nam lepiej go zrozumieć, zaświadczają, że traktował on malarstwo egzystencjalnie, ale także na swój sposób religijnie – chociaż nie używał tych pojęć wprost.

W czym przejawiała się więc duchowa treść jego obrazów?

Zacznę od obrazu, który dla mnie osobiście jest bardzo intrygujący, a mianowicie od *Martwej natury z Biblią*. Van Gogh namalował ten obraz w 1885 roku, a więc pochodzi on jeszcze z okresu malarstwa dość nieporadnego, surowego, nasyconego ciemnymi barwami. Obrazy z tego okresu przedstawiają najczęściej prostych robotników, wieśniaków, ich ciężkie, ubogie życie – znanym przykładem jest na przykład obraz *Jedzący kartofle*. Otóż ten obraz jest kompletnie inny – pokazuje potężną otwartą Biblię. Badacze zidentyfikowali ten egzemplarz – jest to księga, którą van Gogh odziedziczył po swoim ojcu. Ta Biblia, leżąca na stole przy świeczniku ze zgaszoną świecą, skonstrastowana jest z małą książką, znajdującą się znacznie bliżej czytelnika, jak gdyby rzuconą przypadkowo na ten stół. Z jednej strony zatem majestat Biblii, ktoś powiedziałby – przytłaczający,

uroczysty, z drugiej zaś ta niedbale rzucona żółta książeczka. Biblia jest otwarta, ale kolumny tekstu potraktowane zostały całkowicie malarsko, nie da się odczytać żadnych liter. Natomiast na okładce mniejszej książki możemy zobaczyć i przeczytać wyraźnie: Émile Zola, *La Joie de vivre* – czyli *Radość życia*, książka z 1883 roku, swoisty manifest ateizmu autora. Opowiada o młodej dziewczynie, bardzo szlachetnej i optymistycznie nastawionej do życia, którą spotyka wszystko, co najgorsze: cyniczny narzeczony, który ją w końcu porzuca, śmierć bliskich. W zderzeniu z tym losem uwidacznia się jej bezinteresowny stosunek do świata i altruizm. Zola pokazuje, że życie bez Pana Boga może być szlachetne i prawe, a jednocześnie pełne cierpienia. Obraz van Gogha odczytywany jest często w podobnym kluczu. Jest to oczywiście w jakimś stopniu uzasadnione – książka Zoli znajduje się na obrazie bliżej człowieka, a pokolenie van Gogha czytało i głęboko przeżywało jego powieści.

Ale możliwa jest inna interpretacja?

Jak wspomniałem, sam tekst biblijny jest na obrazie całkiem nieczytelny. Gdy jednak uważnie się przyjrzymy, to dostrzeżemy nagłówek – księga otwarta jest na Proroctwie Izajasza, rozdział LIII. W tym rozdziale mowa jest o słudze Jahwe: „Nie miał On wdzięku ani też blasku, aby na Niego popatrzeć, ani wyglądu, by się nam podobał. Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi, mąż boleści, oswojony z cierpieniem, jak ktoś, przed kim się twarze zakrywa, wzgardzony tak, iż mieliśmy Go za nic...”. Krótko mówiąc, jest to proroctwo dotyczące Chrystusa, Jego cierpienia i Jego męki. To daje nam zupełnie nowy klucz interpretacyjny. Oczywiście również niejednoznaczny, ale w moim przekonaniu pieśń o słudze Jahwe staje się punktem odniesienia dla tej książeczki Zoli i czymś, co jest naprawdę w centrum.

„Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi” – te słowa musiały wiele znaczyć dla van Gogha.

Z pewnością. Warto przywołać jeszcze jeden obraz – *Wskreszenie Łazarza* na bazie akwaforty Rembrandta. Namalował go podczas pobytu w szpitalu Saint-Rémy. Miał w nim ograniczony dostęp do świata, do przestrzeni, do tego wszystkiego, co wcześniej było jego głównym źródłem inspiracji, ale miał dostęp do reprodukcji wielkich mistrzów, które kopiował. Często wybiera dzieła religijne – między innymi *Postać anioła*, również na podstawie Rembrandta, czy *Milosierny Samarytanin* Delacroix. Obrazy mistrzów traktuje podobnie, jak traktował naturę – jako punkt wyjścia dla własnej, osobistej interpretacji. W postaci wskrzeszonego Łazarza rozpoznajemy z łatwością rysy samego van Gogha. To bardzo poruszający obraz. Jestem zdania, że całą jego twórczość, zwłaszcza późną – jak na przykład słynne pole pszenicy, nad którymi unoszą się czarne kruki, ale kręta droga kończy się gdzieś w niebie – mamy prawo interpretować religijnie. W kontekście jego listów do brata nie mam wątpliwości, że jego rozumienie sztuki było religijne. Tylko że to jest religijność zupełnie inna, niż rozumiał ją dziewiętnasty wiek i inna, niż my ją dzisiaj rozumiemy, religijność przekraczająca proste konwencje.

Czy możemy więc mówić o swoistej ikonologii dzieła van Gogha? Nie tylko oglądać, ale odczytywać?

Zbyt ciasne i ograniczające są interpretacje dzieł van Gogha, które koncentrują się wyłącznie na formie. Oczywiście, van Gogh istnieje dzięki tej formie, dzięki niej jest rozpoznawalny, ale ta forma jest organicznie związana z treścią. Treść może być czasem zupełnie błaha, van Gogh odkrywa poetykę

rzeczy zwykłych, które nie były dotąd przedmiotem malarstwa nawet u impresjonistów. Ale z drugiej strony sięga po tematy biblijne – przecież on się wychował na Biblii. Przykładem może być obraz *Pole pszenicy ze żniwiarzem*.

Van Gogh w liście do brata pisze, że widzi w niej obraz śmierci – dobrej śmierci, w której nie ma nic smutnego.

Ma to ewidentne konotacje ewangeliczne. Biblia jest bardzo ważną częścią jego wyobraźni. Ale podkreślę raz jeszcze – religijność van Gogha i jego malarstwa wymyka się naszym kategoriom, podobnie jak wymyka się ono całej malarskiej tradycji. Niezwykle trudno jest o nim mówić, konieczna jest uważność w stosowaniu utartych pojęć. Mówiliśmy dotąd o rozpoznawalnych wątkach biblijnych, ale zaryzykowałbym stwierdzenie, podpierając się znów przede wszystkim listami do Theo, że całe swoje malarstwo traktował *sub specie aeternitatis*. Widać to także w portretach. Pisze raz, że chciałby namalować portret swojego znajomego właśnie w perspektywie wieczności, dlatego jako tło maluje niebo najbardziej błękitne, jak to tylko możliwe. To jest właśnie doświadczenie duchowe przełożone na kolor, w sposób najbardziej organiczny. Stworzył własny, niepowtarzalny język. To, że był w dużym stopniu samoukiem, bardzo mu w tym pomogło.

Jednocześnie narzucił sobie niezwykle intensywne tempo pracy. Wszystkie jego dzieła powstały w ciągu ostatnich dziesięciu lat jego życia, a mimo to składają się na ogromny dorobek.

Co więcej, znakomita część tego malarstwa – myślę tu o obrazach olejnych – powstało w ciągu ostatnich dwóch lat jego życia. Malował gorączkowo, kompulsywnie, od rana do wieczora. Właśnie te obrazy są dla mnie

najciekawsze.

Te ostatnie dwa lata zbiegają się z jego pobytem na południu Francji. To jest oczywiście pewien stereotyp, który jednak w przypadku van Gogha zdaje się potwierdzać, że przybysz z mglistej, wilgotnej Północy, na Południu dostrzega jakiś nowy kształt rzeczy, przyjmuje swoistą słoneczną metafizykę. Wspomina się o tym omawiając styl Cézanne'a, ale on na Południu był u siebie. Dla van Gogha było to przełomowe doświadczenie.

Podróż na południe doprowadziła go do zupełnie innej chromatyki, nasyconej, mocnej, która przemieniła jego malarstwo. Cézanne, trochę od van Gogha starszy, właściwie też był samoukiem, dla niego również kolor i forma były niesłychanie ważne. Niewątpliwie wiele ich łączy, ale moim zdaniem dzieli ich podejście do malarstwa. Malarstwo Cézanne'a było znacznie bardziej intelektualne, przepuszczone przez siatkę pojęć, dla van Gogha było po prostu żywiołem związanym z jego doświadczeniem, z jego emocjami.

W tym miejscu rozmowy musi pojawić się jeszcze jedno nazwisko – Paula Gauguina. Van Gogh próbował nawiązać z nim bliższą relację artystyczną. By znów sięgnąć po terminologię religijną – stworzyć coś na kształt zakonu...

To bardzo ciekawe. To również była jakby inna forma realizacji jego pierwszego, ewangeliczno-społecznego powołania. Dramat van Gogha polegał na tym, że z jednej strony był na wskroś introwertykiem, nie potrafił nawiązywać trwałych relacji z ludźmi, a z drugiej strony głęboko łaknął wspólnoty, nie potrafił radzić sobie z samotnością. To najpierw ujawniło się w jego próbie głoszenia Ewangelii, życia razem z najuboższymi, a później we wspomnianym projekcie wspólnoty artystów. Nie zdawał sobie sprawy, że to

jest utopia, bo nie da się stworzyć wspólnoty artystów na bazie paradygmatu artysty przekłętego, indywidualisty zbuntowanego przeciw światu. Sam van Gogh może tego paradygmatu nie reprezentował, ale Gauguin już tak. Oczywiście, można przywołać Bractwo Prerafaelitów w Anglii, czy Nazareńczyków w Rzymie. Te próby miały jednak solidny fundament, nie tylko religijny, ale też artystyczny: chęć przywołania czasu idealnego, czyli wczesnego renesansu włoskiego. Natomiast tutaj nie było takich podstaw, co musiało się źle skończyć. Z Gauguinem łączył go rzeczywiście prymat malarstwa jako sensu i celu życia. Dzieliło ich jednak wiele – sposób pracy, technika, inspiracje... Gauguin poszukiwał natchnienia w swoich dalekich „wyspach szczęśliwych”, podczas gdy budulcem sztuki van Gogha była codzienność. I tutaj okazuje się dzieckiem swojej ojczyzny, bo to przecież właśnie siedemnastowieczna Holandia tę codzienność podniosła do rangi symbolu.

Sztuka Niderlandów była dla van Gogha ważnym źródłem inspiracji?

Niewątpliwie tak. Oczywiście nie jedynym, jak wiadomo, był zafascynowany drzeworytem japońskim, jak wielu współczesnych, przeszedł też przez różne fazy impresjonizmu, również pointylizm, który był do bólu zintelektualizowanym impresjonizmem. Można się zastanawiać, na ile wpłynęło to na jego twórczość, ale jego malarstwo w ostatecznym rozrachunku było całkowitym zaprzeczeniem impresjonizmu. Tam chodziło o wrażenie barwy, o pewną estetykę, a u niego chodziło o życie i emocje z nim związane. Zostaje więc Holandia. Chyba niekoniecznie Bosch – nie pamiętam wzmianek o nim w listach van Gogha. Natomiast siedemnastowieczni Holendrzy zdecydowanie tak. Malarstwo z predylekcją do tego, *co jest*, do pejzażu, do martwej natury, do uważnego, kontemplacyjnego przyglądania się rzeczom i ludziom. A wszystko to podszyte religijną podszewką, bo przecież

siedemnastowieczne holenderskie martwe natury miały charakter symboliczny i da się je odczytywać w kontekście starej symboliki cnót i wad, symboliki odnoszonej do życia świętych i Zbawiciela.

Trudno uniknąć tu pojęcia „religia sztuki”, często przywoływanego w kontekście van Gogha. Czy trafnie?

To zależy od tego, jak rozumiemy to pojęcie. Najczęściej przywołujemy je w duchu *fin de siècle* 'u, a więc sztuki zastępującej religię, przejmującej jej rolę. Nie wiem, czy tak było w przypadku van Gogha. Myślę, że te zależności były bardziej złożone. Dochodzimy tu do bardzo ważnej sprawy, czyli najgłębszego związku religii, sztuki i twórczości. Mówiliśmy wcześniej o powołaniu – otóż ta kategoria sama w sobie jest *par excellence* kategorią religijną. Wiesław Juszczak zauważył, że to słowo swoje dzisiejsze znaczenie zawdzięcza Biblii. Wcześniej było to pojęcie funkcjonalne, tak jak dziś jeszcze mówimy na przykład o powołaniu do wojska. Natomiast w biblijnym języku powołanie to jest egzystencja oddana temu, kto powołuje. Nie ja wymyślam swoje powołanie – ja je odczytuję i odkrywam. W tym sensie van Gogh był artystą powołanym.

Rozmawiał Mikołaj Rajkowski